U brzegów Leopolda Tyrmanda

redakcja naukowa
Marek Górka

Politechnika Koszalińska

Tomasz M. **GŁOGOWSKI**

Śląsk w oczach Tyrmanda

Zapewne jeśliby pokusić się o wyliczenie najbardziej warszawskich pisarzy, Leopold Tyrmand musiałby znaleźć się wśród nich. Wydawać by się więc mogło, że na specjalne „silesiana" w twórczości „króla bikiniarzy" za bardzo nie ma co liczyć. Lektura „sztandarowych" dzieł Tyrmanda potwierdza tę hipotezę.

W jednej z najpoczytniejszych polskich książek, świetnym, arcywarszawskim kryminale *Zły*, prezentującym doskonale nakreślony obraz odbudowującej się stolicy (w połowie lat pięćdziesiątych), Górny Śląsk pojawia się tylko raz. Wyziera on z kolorowego plakatu informującego o ilości wydobytej (sic!) surówki w trzech południowych (?) powiatach Górnego Śląska[1] (szydercza kpina z propagandy sukcesu? próba sprawdzenia co można „przepchnąć" przez sito zelżałej nieco w czasie odwilży cenzury?).

W *Dzienniku 1954* śląskie akcenty są równie nikłe, choć o zdecydowanie poważniejszym charakterze. Narrator wspomina w nim zdawkowo o spotkaniu z kolegą, młodym dziennikarzem, wstrząśniętym sytuacją, którą zaobserwował na Opolszczyźnie. Do takiego stanu doprowadziło go bardzo trafne spostrzeżenie dotyczące opolskich Ślązaków, którzy po trwaniu przy polskości przez 700 (tak w tekście!) lat, podczas których byli „gnieceni przez niemieckość", zaczęli od niej gremialnie odchodzić w skutek siedmiu lat komunizmu. Znajomy narratora, „zapaleniec i patriota", ze łzami w oczach opowiadał o modlących się w kościołach „po niemiecku" Ślązakach[2].

W innym miejscu tego wyjątkowego zapisu czasów stalinizmu w Polsce, można odnaleźć spostrzeżenia i komentarze dotyczące II Zjazdu PZPR (nazwanego „turniejem obłudy i zakłamania"). Pośród wyłowionych przez autora co bardziej interesujących fragmentów wygłoszonych na nim wystąpień pojawia się również stwierdzenie delegata z opolskiego, który zapewnia partyjnych towarzyszy o patriotyzmie Opolan i informuje o tym, iż „ludność Opolszczyzny wyciągnęła naukę z historii walk z germanizacją". Autor dziennika zestawia owo sloganowe stwierdzenie z rzeczywistą sytuacją, która wygląda tak, iż „od

[1] L. Tyrmand, *Zły*, Warszawa 1990, s. 155.
[2] L. Tyrmand, *Dziennik 1954*, Londyn 1993, s. 191.

paru lat wszyscy się tam [tj. na Opolszczyźnie – przyp. TG] podają za Niemców, licząc, że może nastąpią jakieś repatriacje z komunistycznej macierzy"[3].

Wspomina w swym diariuszu Tyrmand także o tragicznej katastrofie w kopalni „Barbara – Wyzwolenie", nadmieniając, iż, więcej niż lakoniczne, oficjalne komunikaty w tej sprawie wywoływały w Warszawie falę plotek zarówno o tysiącach ofiar, jak i o zamieszkach, które miały wybuchnąć na Śląsku bezpośrednio po tragedii[4]. Wspomina także o „obozach pracy na Śląsku" (nie precyzując co ma na myśli) oraz więźniach politycznych i oddziałach wojska zmuszanych do pracy w kopalniach[5].

W znajdujących się w tomie *Gorzki smak czekolady Lucullus* opowiadaniach będących wyrazem sportowych fascynacji Leopolda Tyrmanda, Ślązacy pojawiają się dwukrotnie jako przeciwnicy młodych, warszawskich sportowców. Co ciekawe, obie sytuacje są bardzo podobne. Naprzeciw nieprzeciętnie uzdolnionych, nie prowadzących jednakże wzorcowo sportowego trybu życia, młodych warszawiaków stają toporni rzemieślnicy sportu rodem z Katowic.

Opowiadanie *Zwyciężać znaczy myśleć* dotyczy boksu, zaś jego głównym bohaterem jest niejaki Stolarek, utalentowany zabijaka z warszawskiej ulicy, a zarazem dobry materiał na rasowego boksera. Stolarek po początkowym paśmie łatwych sukcesów, krzyżuje rękawice z mistrzem okręgu śląskiego Gruszką – „młodym, dwudziestoparoletnim chłopakiem, którego czerwona, szeroka twarz i krępa, żylasto – koścista budowa wskazywała na wyraźnie chłopskie pochodzenie". Naprzeciw warszawskiemu wybuchowi, zrywowi i pasji stanęły katowicki upór i kamienista siła. „Gruszka (...) w zwarciu łomotał wolno, lecz regularnie, jak cepem, w korpus Stolarka". Błyskotliwy warszawiak nie dałby rady śląskiej toporności, ale „przy wyjściu ze zwarcia raczej kocim instynktem ulicznika niż świadomą wolą (...) uderzył głową w łuk brwiowy Gruszki", a następnie z premedytacją uderzał w rozbity łuk, doprowadzając do technicznego nokautu[6].

W opowiadaniu *Hanka* tytułową bohaterką jest filigranowa dziewczyna, urodzona pływaczka, której talentowi szkodzą jednak „sława, popularność, tanga i papierosy". Jej także przychodzi stanąć w szranki ze śląskimi rywalkami, oczywiście „krępymi, mocno zbudowanymi", których styl pływania nie miał zbyt wiele wspólnego z „płynnością i miękkością ruchów Hanki (...) wywołujących uśmiech zachwytu na twarzach widzów". Jednakże wobec wspomnianego wyżej mało sportowego trybu życia Hanki „regularność dobrze naoliwionej i przygotowanej do pracy [maszyny]", czyli Ślązaczki (!), okazała się

[3] *Ibidem*, s. 314.
[4] *Ibidem*, s. 376.
[5] *Ibidem*, s. 139.
[6] L. Tyrmand, *Zwyciężać znaczy myśleć*, [w:] *Gorzki smak czekolady Lucullus*, Warszawa 1995, s. 231-232.

być górą, a utalentowanej warszawiance przyszło jedynie z goryczą podjąć postawienie zaniechania prowadzenia nadmiernie rozrywkowego trybu życia[7].

Powyższe przykłady to jednak, jak łatwo zauważyć, jedynie drobne epizody utworów, dostrzegalne przez wyjątkowo zainteresowanych śląską tematyką. Tym większą niespodziankę stanowić może, zamieszczone w tym samym tomie *Gorzki smak czekolady Lucullus*, opowiadanie zatytułowane *Jonathan Miller*[8].

Akcja tego, napisanego w 1948 roku, utworu rozgrywa się bowiem na Śląsku. Warto pokusić się o próbę sprecyzowania miejsca akcji. Narrator opowiadania, dziennikarz „jednej z gazet stołecznych", jest nieco niekonsekwentny w jego określaniu. Już na pierwszej stronie możemy przeczytać o „jednym ze średnich miast fabrycznych na Zachodzie", o „Zagłębiu" w którym wówczas narrator pracował jako specjalny korespondent relacjonujący „wysiłek, trud i przeżycia (...) jakie płynęły z życia naszych hut i stalowni" oraz o dworcu kolejowym w owym mieście, typowym dla „powstałych pod koniec ubiegłego wieku na Śląsku" (*J*, 151). Informacje te mogą odrobinę zdezorientować czytelnika, można chyba jednak przyjąć, że autor umiejscawia akcję swojego utworu w jednej z górnośląskich miejscowości. W czasie powstania opowiadania powszechnie używaną nazwą było „Zagłębie śląsko-dąbrowskie", a choć dzisiaj raczej trudno spotkać się ze stwierdzeniem, iż Górny Śląsk leży „na Zachodzie" Polski, zapewne tuż po wojnie wszystkie tzw. Ziemie Odzyskane funkcjonowały w świadomości Polaków jako zachód ojczyzny w jej nowym kształcie.

W każdym razie akcja umiejscowiona została w „średnim przemysłowym mieście" gdzie wzdłuż nie kończących się murów i płotów fabrycznych, zakończonych wystającym żeliwem, z rozpiętym wzdłuż drutem kolczastym (...) hałdy węgla i koksu sterczały stożkowato ponad murami i płotami, raczej wyczuwalne niż widoczne w ciemnościach i mgle (*J*, 162).

Jeśli ktoś chciałby pokusić się o próbę sprawdzenia, czy istnieje rzeczywisty odpowiednik miejsca akcji *Jonathana Millera*, najlepszym tropem byłby wspomniany już dworzec.

Ów niepowtarzalny, a tak typowy dla tych ziem dworzec (*J*, 155) (...) był dwupiętrowy w swej centralnej partii, rozłożysty, obszerny i wygodny. Rozbudowana sieć torów, kilka peronów i później dorobione przejścia podziemne na każdy z nich, duże dépôt i przestawnia dla lokomotyw wskazywały na to, że stacja była węzłowa i ważna (*J*, 151).

Czy na podstawie tych informacji można odnaleźć gdzieś na Śląsku to miasteczko i ten dworzec? Niech pytanie pozostanie otwarte.

---

[7] L. Tyrmand, *Hanka*, [w:] *Gorzki smak czekolady Lucullus*, s. 277-279.

[8] L. Tyrmand, *Jonathan Miller*, [w:] *Gorzki smak czekolady Lucullus*. Dalej stosuję (*J*, numer strony).

Spora część akcji utworu rozgrywa się właśnie na dworcu, na którym przesyłający codzienne korespondencje narrator poznaje tytułowego bohatera. Kim był Jonathan Miller? Przede wszystkim kimś zdecydowanie wyróżniającym się w otoczeniu dworca, w odniesieniu do którego narrator wyraża opinię, iż pośród powojennej zawieruchy „miał [on] swoje historyczne prawo (...) być brudny i zapuszczony, pełny kurzu, śmiecia, połamanych framug, ławek i wybitych szyb" (*J*, 152), co określone zostało jako „romantyczny rozgardiasz" (*J*, 154)! Cóż tak wyróżniało Jonathana Millera ? Była to mianowicie ... czystość. Gdy patrzało się na niego w oczy „uderzała tandetna, najzwyklejsza czystość. Nosił czysto wyprane i wyprasowane koszule i najtańsze, najbardziej nudne krawaty (...) Miał zawsze czyste ręce i starannie ogoloną twarz" (*J*, 152). Wszystko to według narratora „tchnęło niemczyzną i protestantyzmem" (!) (*J*, 152) i powodowało, iż tak zdecydowanie „odcinał się od otoczenia", tego „patetycznie (?!?) brudnego dworca", w czasach gdy „dworce były pierwsze naprawdę polskie na Ziemiach Odzyskanych" (*J*, 155).

Zastanawia, iż w utworze Tyrmanda możemy trafić na tak jednoznaczne utożsamienie polskości z brudem i bałaganem, a co więcej, również na pewne wytłumaczenie tego faktu.

Na takim tle zdewastowanego dworca pojawia się „jakby dopiero wyszedł z taniutkiego magazynu lub pralni" (*J*, 152) Jonathan Miller, sam siebie określający, co istotne, jako **autochton**. (*J*, 157)

Dowiadujemy się o nim, iż urodził się na Śląsku, w środowisku niemieckim i protestanckim, a „otoczenie zaszczepiło w nim mnóstwo wielkich zasad i drobnych upodobań, których źródłem był niemiecki mieszczański styl życia i ortodoksyjnie protestancki komentarz do Pisma Świętego" (*J*, 152-153). Charakteryzowały go przeciętność, zwykłość i wymierność.

Trzeba przyznać, że wyłania się nam charakterystyka niezbyt interesującego człowieka. Ale uwaga – „pomimo dominującego, wszechobecnego niemieckiego otoczenia" w rodzinie Jonathana Millera „katolicyzm i polskość wkorzenione były od wieków, zaś rozsądek i umiar pozwalały je przez wieki przenosić" (*J*, 153).

Zupełnie mimowolnie zostaje podana czytelnikowi informacja, iż katolicyzm i polskość to cechy zachowywane dzięki rozsądkowi (?!?) i umiarowi! Jakże kontrastuje to z przytoczonym wyżej, opisem charakterystycznego, według narratora, dla polskości – bałaganu.

W krótkiej charakterystyce rodu Millerów odnajdujemy zachowania i cechy układające się w stereotyp postępowań Ślązaków, według którego mieli oni za główne swe credo przyjmować postępowanie zgodnie z obowiązującym prawem i przetrwanie wbrew niesprzyjającym okolicznościom zewnętrznym. Tak więc dziadek Millera był pruskim urzędniczyną miejskim, głosował za Bismarkiem, ale w domu gościł czas dłuższy powstańca z 1863 roku, któremu

udało się zbiec przez granicę i uniknąć internowania. Ojciec utrzymywał doskonałe stosunki z niemieckimi sąsiadami. Jonathan nie płonął ogniem wiary, ani nie konspirował, ale abonował pisma Związku Polaków, póki były legalne. (...) Sprawy polskości i katolicyzmu nie były dlań w życiu najważniejsze, ale były, istniały i nie nastręczały żadnych wewnętrznych konfliktów. Gdy przyszedł Hitler, Jonathan przestał abonować gazety, lecz nie przestał myśleć po swojemu. Nikt go nie aresztował ani nie prześladował, a gdy wybuchła wojna, poszedł do służby pomocniczej, jako że miał żylaki. Po wojnie miał przed sobą jedną, prostą drogę. Wrócił do swego miasta, wydoskonalił swą wątłą polszczyznę i zajął stanowisko prokurenta-księgowego wielkich państwowych zakładów hutniczych. Wkrótce zyskał sobie opinię poważnego i cenionego autochtona (*J*, 153-4).

Tego mniej więcej dowiedział się narrator przy wspólnych, co wieczornych partiach szachów. Usłyszał również opinię Jonathana Millera na temat zachodzących na Śląsku zmian. Tytułowy bohater mianowicie, według słów narratora (...) miał rdzennym (!) Polakom wiele do zarzucenia. Nie lubił hałaśliwości i niechlujstwa, blagierstwa, niesolidności, kolorowej, strzępiastej fantazji w smutkach i w radościach tych nowych przybyszów z centralnej Polski i zza Buga. Drażniła go zbytnia piękność lub zbytnia brzydota ich kobiet i przesadne zapuszczenie lub przesadna inteligencja ich mężczyzn. To wszystko nie mogło jednak wywrócić lub zmącić jego spokoju i głębokiego przekonania o tym, że jest Polakiem, bez względu na to, czy mu się tak podoba, czy nie. Nawet nie zdawał sobie sprawy, ile w nim było obcości, lecz właśnie ta nieświadomość była najlepszym gwarantem jego dobrego samopoczucia, a mojej pewności, że jednak w końcu wszystko się wyrówna (*J*, 154).

Trudno chyba byłoby jednoznacznie stwierdzić cóż według narratora powinno się wyrównać. Czy Jonathan Miller powinien przestać wyglądać „jak anachronizm na tle wpół zdrapanego gotyckiego napisu" i upodobnić się do stojącego obok „rozchełstanego milicjanta, z niedbale przerzuconą przez ramię pepeszą, istnego zagończyka z baczkami wokół klasycznej poleskiej czy wołyńskiej twarzy" (*J*, 154)? Czy tak właśnie powinien wyglądać triumf przenoszonej przez wieki, dzięki rzecz jasna „rozsądkowi i umiarowi", polskości?

Póki co Jonathan Miller był jednak optymistą. Wierzył, że stopa życiowa się podniesie i że im, Ślązakom-autochtonom, uda się w końcu nawiązać braterskie stosunki z repatriantami. Że różnice z czasem zatrą się kompletnie, tylko niech oni nie będą tacy niechlujni, ci rodacy, niech mniej się upijają i tak nie krzyczą, a wszystko się ułoży (*J*, 157).

Nie do tematu tego szkicu należą refleksje na temat realizacji nadziei autochtona z „fabrycznego miasteczka na Zachodzie". Zasadniczą część opowiadania stanowi swoista „spowiedź-życia" Jonathana Millera, opowiedziana narratorowi tuż przed jego odjazdem do Warszawy.

Jest to historia urzędnika z małego miasteczka, uważającego, iż „człowiek powinien kontentować się danym, małym i spokojnym, zaś robić to, co wywołuje powszechny szacunek i uznanie" (*J*, 164). Osoby chwalonej za sumienność, uczciwość i solidność, najlepiej czującej się wśród sąsiadów w rodzinnym, prowincjonalnym mieście. Dzięki rzetelnej pracy po przebyciu pewnego odcinka kariery objął on stanowisko nadbuchaltera poważnej firmy we Wrocławiu.

Jonathanowi Millerowi nie imponowało wielkomiejskie życie, a swoją przyszłość wiązał z „ideałem tęgiej i miękkiej, zasobnej w ciało i grube, spięte warkocze córki piekarza z (...) rodzinnej ulicy" (*J*, 165) i planami nabycia małego sklepiku kolonialnego w rodzinnym miasteczku. W pracy był odludkiem, jak sam to określał, terroryzowanym przez „zaczepnych, młodych ludzi w kolorowych krawatach i pstrych marynarkach" (*J*, 164), którzy, wykorzystując jego pokaźne dochody, ciągali go po modnych plażach nad Odrą, wrzaskliwych meczach piłki nożnej, dansingach, prywatkach i tego typu miejscach. Jonathan Miller, choć zapewne wielu może wydać się to dziwne, gardził takim życiem – „pełnym wódki, barwnych dziewcząt w krótkim spódnicach, jęczących melodii tanecznych, (...) hałaśliwych dźwięków jazzu" (*J*, 168).

Tak na marginesie, trudno oprzeć się wrażeniu, że te ostatnie wyliczenia dość trafnie charakteryzują życie Leopolda Tyrmanda, przykładającego zawsze wielką wagę do ubioru (o czym świadczyć mogą chociażby bardzo dokładnie zrelacjonowane w *Dzienniku 1954* zabiegi w celu „przeistoczenia kołnierzyka tandetnej koszuli z Centralnego Domu Towarowego w poezję taką mniej więcej, jaką dostrzec można wokół szyi Freda Astaire"[9]), znanego z upodobań do kolorowych krawatów wielbiciela i znawcy jazzu, bojownika o prawo istnienia tego gatunku w PRL-u, miłośnika dobrej zabawy, jak również człowieka o którym mówiło się, iż „lubi ubierać się w ładne kobiety"[10].

Jonathan Miller odrzucał taki kolorowy świat, marząc wciąż o przyszłym spokojnym, małomiasteczkowym życiu. Jednakże wkrótce wszystkie jego marzenia legły w gruzach. Stateczny do tej pory Jonathan Miller wpadł w szpony namiętności. Jak mówił, zrozumiał „czytywane nieraz popularne powieści o rozmaitych cesarskich oficerach huzarów, tych arystokratycznych nierobach i nicponiach, którzy zabijali z miłości swe kochanki i popełniali sami samobójstwa" (*J*, 173-174). To specyficzne uzależnienie od, świadomej tego faktu i bezwzględnie go wykorzystującej, pięknej Urszuli pociągnęło za sobą olbrzymi wzrost wydatków, a z czasem całkowite bankructwo bohatera. Siła namiętności była tak wielka, że pozbawiony już zupełnie środków finansowych, Jonathan Miller popełnił straszny czyn. Okradł kilkunastoletniego chłopca, który właśnie przyjechał do Wrocławia na naukę w zakładach ślusarskich, tylko po to,

[9] L. Tyrmand, *Dziennik 1954*, s. 44.
[10] M. Urbanek, *Zły Tyrmand*, Warszawa 1993, s. 75.

by zdobyć pieniądze na spędzenie jeszcze dwóch chociaż dni i nocy z Urszulą. Dopiero taki podły czyn spowodował otrzeźwienie – porzucenie dotychczasowego trybu życia, próbę odnalezienia okradzionego chłopca.

Na dłuższe analizowanie tej historii o potędze namiętności nie miejsce w szkicu, w którym usiłuję tropić „silesiana" w twórczości Leopolda Tyrmanda. Trudno poddać wnikliwszej analizie drobne śląskie elementy wyłowione z twórczości Tyrmanda – pisarza, powtórzmy, na wskroś warszawskiego. Fragment *Dziennika 1954* sygnalizuje spore zorientowanie jego autora w realiach opolskiej części Górnego Śląska czasów stalinowskich. Symptomatyczna wydaje się zbieżność charakterystyk śląskich sportowców w dwóch różnych opowiadaniach, charakterystyk układających się w mało pochlebny stereotyp niefinezyjnej i nieefektownej toporności.

Także momentami nieomal karykaturalnie stereotypową możemy nazwać charakterystykę Jonathana Millera. Umiejscowienie akcji *Jonathana Millera* na Śląsku może stanowić, chociażby dla osób kojarzących Leopolda Tyrmanda z przepełnionym miłością do Warszawy *Złym*, sporą niespodziankę. Niewątpliwie śląska sceneria stanowi jedynie tło dla opowiedzenia historii o ciemnych mocach żądzy. Jednakże, dbający o staranne nakreślanie w swych utworach miejsc akcji i charakterystyk postaci bohaterów Leopold Tyrmand, podobnie postąpił w tym opowiadaniu, umieszczając w nim sporo elementów mających chociażby nadać cech wiarygodności tytułowemu bohaterowi. Wplecione jako drobne wstawki, rozrzucone w różnych miejscach tekstu, dają się one ułożyć w pewną całość.

Zwraca uwagę, nie negowane przez narratora opowiadania, deklarowanie się Jonathana Millera jako Ślązaka-autochtona. Cenne są niewątpliwie, włożone w usta tytułowego bohatera, uwagi dotyczące powojennych relacji na Śląsku pomiędzy autochtonami a repatriantami. Świadczą one o orientacji Tyrmanda w poruszanej tematyce, a opublikowane w 1956 roku opowiadanie czynią chyba jednym z nielicznych wówczas tekstów sygnalizujących skomplikowaną sytuację na Górnym Śląsku.

Zastanawiające natomiast wydawać może się zaprezentowane przez autora przeciwstawienie niemieckości i polskości. Na przykładzie tytułowego bohatera jest ono jeszcze w miarę możliwe do zaakceptowania. Mianowicie, jak to określa narrator „skoncentrowana, płytka niemieckość" przejawia się u Jonathana Millera przywoływaną już „tandetną czystością" („tanie buty błyszczą, tandetna koszula jest czysta" (*J*, 154)), a o polskości świadczy „smutek-nie-smutek, niepokój-nie-niepokój, głupie, spokojne oczy i zagadkowość" (*J*, 157).

Niezrozumiały już jednak, przynajmniej w pierwszej chwili, wydaje się opis ścierania się elementów polskich i niemieckich w przestrzeni dworca i całego górnośląskiego miasteczka. Możemy tu odnaleźć przeciwstawienie niemieckiej budowli dworca – „rozłożystego, obszernego i wygodnego" –

z usprawiedliwianym przez narratora polskim bałaganem i dewastacją („romantyczny rozgardiasz"!), wprowadzającymi doń „tumany kurzu, brudu i stłuczonego szkła" (*J*, 152). Natomiast nienagannie schludnemu ubiorowi Jonathana Millera, przedstawione dla kontrastu zostało niechlujstwo i rozchełstanie polskiego milicjanta.

Zastanawiać może opowiadanie się po stronie, mających przecież jednoznacznie negatywny wydźwięk, elementów określanych jako charakterystyczne dla polskości. Raczej nie dzieje się tak ze względów patriotycznych. Z jakich więc? Czyżby, z dość chyba naiwnego i nad zbyt słowiańskiego przekonania, iż bałaganiarstwo bardziej naturalnie „leży" w ludzkiej naturze, a w każdym razie jest ciekawsze, bardziej atrakcyjne i mniej przewidywalne od tak nudnego, cóż z tego, że wprowadzającego ład, niemieckiego porządku?

A może Tyrmand był aż tak bardzo zakochany w ruinach Warszawy (raz jeszcze należałoby odesłać do *Złego*), że wprowadził podobny klimat do schludnego śląsko-niemieckiego miasteczka? Choć to bardziej żart, niż próba poważnej interpretacji tekstu, być może warto podążyć chwilę tym tropem. Całkowicie odmienne scenerie dwóch, nieodległych w czasie wydania, utworów Tyrmanda prowokują co najmniej do dwóch refleksji. Krajobraz, przemysłowego co prawda, ale nie tkniętego wojennymi działania śląskiego miasteczka, tak różny od Warszawy, której „przestrzeń sfałdowana [była] fragmentami murów, ścian, oficyn, usiana (...) belkami stropów i balkonów (...) łączącymi resztki murów ze sobą"[11] mógł być odbierany jako obcy. Łatwo mógł stać się obiektem nieuzasadnionych wyrzutów – nie przeszedł takich samych jak Polska cierpień, pozostał niezniszczony, nie jest więc polski. Wkraczający na te ziemie element polski miał prawo siać w nim dewastację, upodobniając go do reszty kraju, a tym samym doń włączając.

Z drugiej strony trzeba pamiętać, że opowiedzenie się po stronie „romantycznego rozgardiaszu", jak również jego pewne usprawiedliwianie, mogło być wymuszone perspektywą przejścia opowiadania przez akceptację cenzury (pierwsze wydanie tomu *Gorzki smak czekolady Lucullus* miało miejsce w roku 1956). Być może więc autor nie stawał po stronie niechlujstwa i bałaganiarstwa, pozostawiając czytelnikowi samodzielne dojście do smutnej refleksji nad skutkami pojawienia się pierwiastka polskiego w tym „średnim, przemysłowym mieście" na Zachodzie. Korespondowałoby to zresztą z, wyrażanymi na łamach *Dziennika 1954*, refleksjami na temat postępujących zaraz za Armią Czerwoną brudu, bałaganu i dewastacji, które to zjawiska Tyrmand obserwował w Wilnie i Warszawie.

Ciekawe, jak brud fizyczny stał się, w oczach mojego pokolenia, symbolem komunizmu. Pamiętam, jak Rosjanie przejęli Wilno po Litwinach w 1940 roku

[11] L. Tyrmand, *Zły*, s. 387.

bez krzty rozgardiaszu. Czyste ulice, skwery, czyste kina, kawiarnie, parki zanieczyściły się jakby w oczach, z dnia na dzień. Jak to się dzieje? Dlaczego pałace i teatry, wczoraj jeszcze schludne, dziś są już niechlujne, odrapane, zaplute? Dlaczego Warszawa, w którą ładuje się tyle pracy i pieniędzy, tapla się w mazi zimowego błota, z rezygnacją i bez protestu?[12] – pisał. Mamy więc przedstawioną w *Jonathanie Millerze* sytuację wkraczaniu do śląskiego miasteczka nie tyle polskości, ile komunizmu. W jaki bowiem sposób zaznacza się obecność nowej władzy na ciągle jeszcze w pewnym stopniu niemieckim dworcu (przypomnijmy „na wpół zdrapany gotycki napis"!)? Poprzez obecność milicjanta (z pepeszą, a więc „radzieckim pistoletem maszynowym" jak można przeczytać w każdym *Słowniku języka polskiego*), o poleskich lub wołyńskich (czyli wschodnich!) rysach twarzy (*J*, 154).

Jaką rolę pełni więc na dworcu ów milicjant ? Stróża porządku, czy też czytelnego dla wszystkich symbolu ? Jeśli symbolu, to kogo przedstawia swym „rozchełstaniem"? Polaka-wataszkę, czy też może sowietę-zdobywcę ?

Niewątpliwie przyjęcie, iż o zadanie sobie przez czytelników *Jonathana Millera* takich właśnie pytań chodziło jego autorowi, powoduje znaczne docenienie Leopolda Tyrmanda. Wydaje się jednak, iż mając na względzie jego pisarski kunszt, zwłaszcza zaś dbałość o szczegóły, można uznać, że powyższe rozważania nie są zbyt daleko idącą interpretacją tekstu.

W zakończeniu należy raz jeszcze podkreślić, iż śląska sceneria pełni w opowiadaniu jedynie „pomocniczą" rolę.

[12] L. Tyrmand, *Dziennik 1954*, s. 88.